

Przemilczeć wypowiedziane

AUTOR: JULIA LIZUREK

Jak zostać kołędnikiem? Co to znaczy odbyć wyprawę w obszar kultury obrzędowej? Jak praktykuje się teatr poza instytucją i poza sceną? O doświadczeniu Innej Szkoły Teatralnej prowadzonej od 2000 roku przez Teatr Węgajty pisze Julia Lizurek.

Henryk Mazurkiewicz: Czym jest Inna Szkoła Teatralna?

Wacław Sobaszek: Są to warsztaty teatralne i wyprawy w obszary kultury obrzędowej. Dla wielu chętnych jest to najczęściej pierwsze doświadczenie bycia w takich dziwnych miejscach z dużą energią. Po warsztatach pokazujemy przygotowane w trakcie etiudy teatralne i szkice do spektaklu.

Mute Sobaszek: Wacek tutaj bardzo oszczędnie mówi o tym, co się dzieje na wyprawach. Mnie natomiast przychodzi na myśl fraza znanego utworu, mianowicie: „Przeżyj to sam!”. Bo tu chodzi o spotkanie i o coś tak bardzo prostego i pierwotnego, jak chodzenie od drzwi do drzwi, od progu do progu. Niesamowicie silne rzeczy się tam wydarzają. Dostarczają energii, która otwiera w człowieku rzeczy niedostępne przez rozumowe, podręcznikowe poznanie.

(J. Lizurek, H. Mazurkiewicz, *Offologia dla opornych*)

Są takie miejsca, które nie chcą zostać opisane. Ale to chyba nie jedno z nich. Od czego jednak zacząć? Od którego obrazu, dźwięku, zapachu, dotyku?

W Węgajtach, u Erdmute i Wacława Sobaszków, nowej perspektywy na życie i swoją sztukę szukam nie tylko ja. Wacek przed pierwszym warsztatem Innej Szkoły Teatralnej, który ma nas przygotować do wyprawy kołędniczej do Nowicy, w grudniu 2023 roku pisze w mailu:

Zbliża się przełom roku. Coś się kończy, coś się ma zacząć. Dobry czas do skupienia, do namysłu nad życiem, nad światem. Do koncentrowania się na tym, co aktualnie ważnego się zdarza, co się wyłania. Może, mimo całego dziejącego się na zewnątrz zła, wyłaniają się w nas jakieś marzenia, nadzieje? [...] ważne jest, by próbować rozpoznać to, co naprawdę nas dotyka.

Celem jednak jest skupienie nie na sobie, a na innym:

Myślenie o drugim człowieku, o ważności bycia w relacji twarzą w twarz przenosi się oczywiście na jeszcze szerszy plan, w świat ogarnięty wojną, kryzysem humanitarnym, katastrofą ekologiczną. Nieodwracanie wzroku, spojrzenie prawdzie w oczy, to początek wszystkiego, jeśli pragniemy zmiany,

jeśli myślimy o wspieraniu sił dobra. Kolejna faza to po prostu bycie w żywym kontakcie z ludźmi, z tymi, którzy potrzebują pomocy i także z tymi, którzy potrafią jej udzielać.

W ponoworoczny wczesny poranek wsiadam do pociągu relacji Kraków – Olsztyn i myślę nieustannie nad moim „kamykiem” do szopki noworocznej. Niepokoi mnie, że mimo wystarczającej ilości czasu do namysłu i skupienia na temacie nie jestem pewna, nad czym chciałabym pracować. Wieczorem okazuje się, że inni mają podobne wątpliwości. Dopiero kolejnego dnia, po pośpiesznie zrobionej notatce-impresji z posylwestrowych zdarzeń, zdaję sobie sprawę, że materiał, który ostatecznie stanie się częścią mojej etiudy, powstawał cały ostatni rok. Czy może być lepsze podsumowanie?

Ostateczna pewność przychodzi do mnie, kiedy wraz z pozostałymi uczestnikami Innej Szkoły Teatralnej przemierzam trasę pomiędzy domem Elżbiety i Reinolda Goerigków, znajdującym się przy głównej ulicy Węgajt, a teatrem usytuowanym na skraju leśnych dróg. Wczoraj byłam bardzo zmęczona i z trudem łapałam pierwsze melodie kołęd, pierwsze taneczne kroki. Dzisiaj przyglądam się każdemu z przyszłych kołędników, wsłuchuję się w ich historie: trochę jak ciekawa procesu krytyczka, trochę jak reżyserka zaintrygowana materiałem do pracy, trochę jak performerka szukająca wspierającej, otwierającej na wyrażanie energii. W Węgajtach role, które realizujemy w życiu czy w pracy zawodowej, stają się połączeniami w wiosce. Powoływana jest ona rokrocznie przez Sobaszków, tworzących trzon Teatru Węgajty, i zapraszanych przez nich adeptów, wyłanianych na podstawie zgłoszeń. Wioskowa społeczność składa się z wielu artystów regularnie powracających do współpracy. Rodzi się po to, by uchronić przed zapomnieniem i zniknięciem tradycję, która niesie w sobie obietnicę żywego kontaktu z drugim człowiekiem. Wszyscy, którzy tu przyjechali, wierzą w moc ukrytą w międzyludzkim kościele. Chcą się nią karmić, chcą ją tworzyć.



Dziadówek 2024

fot. Nityaesh Nahavandy

Ta intencja i perspektywa sprawiają, że doświadczenie przygotowania kolędowania, a później jego celebrowanie stają się jednym wielkim przedstawieniem. Chciałabym w tym tekście skupić się na jego czterech sferach: pracy warsztatowej, współżyciu, kolędowaniu oraz pokazie pracy.

w nieznane

Na Inną Szkołę Teatralną składają się cztery cykle warsztatowe: noworoczno-kolędniczy, zapustny, wiosenno-kolędniczy i letni, związany z przygotowaniem spektaklu pokazywanego na festiwalu Wioska Teatralna. Moja wiedza o metodach warsztatowych jest sumą doświadczeń dwóch cykli, które swój finał miały poza Węgajtami: w Nowicy w Beskidzie Niskim (2–9 stycznia 2024) oraz w Dziadówku na Suwalszczyźnie (26 marca – 2 kwietnia 2024). Sobaszkowie odwiedzają te wsie od blisko trzydziestu lat. Możemy więc mówić już o tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie – zarówno tam, jak i wśród adeptów IST, z których wielu organizuje kolędowania w swoich miejskich ośrodkach.

Żeby zostać kolędnikiem warto:

- umieć zaśpiewać kilka kolęd/pastorałek/pieśni wielkanocnych/pieśni wiosennych;
- włączyć się w korowodowe tradycyjne tańce;
- wcielić się w Kozę/Turonia/Cygana/Króla Heroda/Śmierć/Diabła (kolędowanie)/Królową/Smoka/Świętego Jerzego/Wołoczebnika/Starą Kobietę/Rodzającego Mężczyznę (alilujka);
- być w stanie maszerować pod górę/przez głęboki śnieg/w niskich temperaturach/grając na instrumentach/niosąc wypchane darami torby.

Nie oszukujmy się – nie ma zbyt wiele czasu (około cztery dni), żeby opanować te partytury, zwłaszcza jeśli jesteś początkująca. Sobaszkowie

wprowadzając kolejne elementy, nie tłumaczą, w jaki sposób należy je wykonywać. Nauka, jak w przypadku dzieci, odbywa się poprzez naśladowanie. Zaletą tej metody jest możliwość dostosowywania poziomu do własnych możliwości. Trudnością do pokonania – wyobrażenie o tym, ile można zrobić, ambicja, by zrobić nieco więcej lub strach, który uniemożliwia podjęcie próby.

Pracy grupowej towarzyszy również indywidualna, której zapowiedzią jest właśnie przygotowanie materiału do pokazu. W trakcie warsztatów przyjmuje ona formę tzw. silentorium. Wtedy, po wspólnej pracy nad wybranymi wersami, fragmentami zaproponowanych przez nas tekstów, autorskich lub zaczerpniętych, każdy udaje się na ubocze – do lasu, na drogę, zostaje w sali lub jej przedsionku. Wbrew nazwie zapanowuje wtedy miły szum wywołany przez ściszone i opuszczone głosy, przerywany słyszonym z oddali głośnym krzykiem lub śpiewem. Pod koniec wyznaczonej godziny próbujemy znaleźć osoby, które, jeśli tak założyliśmy, wezmą udział w naszej scenie. Świadkowałam też sytuacjom, kiedy impuls łapania ludzi był pierwszym etapem pracy. Wszystko zależy od charakteru performerów-reżyserów, od jego inspiracji i ucieleśnionych metod pracy. Dlatego też ostateczny zbiór etiud, złożony z form ruchowych, muzycznych, pracy z rekwizytem, wykorzystujących narzędzia analogowe i cyfrowe, dramaturgicznie skomplikowane i proste, wydaje się eklektyczny. Nie stanowi to jednak dla inscenizatora, którym jest Wacek Sobaszek, problemu.

Narzędziem, które służy połączeniu „kamyków” na poziomie mentalnym i energetycznym, jest runda. Nie ma ona charakteru twórczego feedbacku, który odbywa się bardziej zakulisowo. Poruszając się po okręgu, w którym siedzimy, każdy dzieli się wrażeniami z tu i teraz, podsumowuje

dzień pracy. Szczególny charakter ma runda, która zaczyna pracę nad etiudami – każdy mniej lub bardziej świadomie szuka punktów styku i splotów swojego tematu z tematami innych.

Wielokrotnie doświadczałam tego kręgowego czasu jako możliwości skontaktowania się z moimi nadziejami, trudnościami czy lękami, które pojawiały się w trakcie pracy. Czasami nazywałam coś, co było udziałem innych. Często utożsamiałam się z tym, co mówili. W trakcie rundy trzeba więcej słuchać, niż mówić. Tutaj ćwiczymy obie te sztuki. Wykonywane z zaangażowaniem, budują silną więź.

wioska

W Wielką Sobotę niektórzy odsypiają popołudniowo-nocne muzykowanie, po czym pomagają Mutce i Wackowi w transportowaniu drewna na opał. Tymon wyrusza odebrać vana, który zawiezie nas jutro do Dziadówka. My z Zuzią, Andrzejem i Wojtkiem jedziemy zrobić zakupy z listy produktów na wielkanocne potrawy. Większość dań, które wymyśliliśmy, nie jest typowa, więc zakupy wymagają pewnej gimnastyki. Półki są już bardzo przebrane – chciałam zrobić sałatkę z brokułu, ale nigdzie go nie ma, więc w ostatniej chwili, już w niedzielę, w ostatnim sklepie kupuję margarynę i mleko, żeby upiec rogaliki. Mutka mówi, że ma w domu zamrożone drożdże. W finale tej zakupowo-kulinarnej przygody okazuje się, że mamy w teamie utalentowanych kucharzy, których nie przeraziły niepełne zapasy. Opowiadam o zakupach na kręgu urządzonym nieco pospiesznie w trakcie przygotowywania potraw, przywołując słowa Zuzi o byciu w ciągłym działaniu, które wyczerpuje. Mówię, że poczułam się z nimi zintegrowana mimo harówki. Zuzia uśmiecha się porozumiewawczo.

Wokół jedzenia zbieramy się co poranek w kuchni Eli. Wegański tatar z wafli ryżowych, NutEla – powidła śliwkowe z czekoladą, bardzo czosnkowa pasta ze słonecznika, pasztet z czerwonej soczewicy i ketchup z cukinii – jedząc te specjały, trudno nie celebrować ich smaku i nie wyrażać wdzięczności dla tej, która włożyła serce w ich przygotowanie. Na obiad Ela serwuje zupy, zapiekanki i gulasze, o walorach których niejedno można napisać. Jednak nieprzyzwyczajeni do wegańskiej kuchni przyznają się do odczuwania skutków zmiany diety przez jakiś czas od przyjazdu.

Niektórzy świadomie włączają w telefonach tryb samolotowy, żeby być bliżej swoich myśli, nie rozpraszać się bólami codzienności, które dopadają nawet w trakcie święta. Kilkoro z nas doświadcza silnego niepokoju, kiedy dojeżdżając do Nowicy w Beskidzie Niskim, słyszymy od Mutki, że jest to moment na ostatnie telefony, bo zaraz nie będzie zasięgu. Po chwili okazuje się, że dostaliśmy to ostrzeżenie nieco za późno. Niektórzy idą w deszczu, przez błoto, żeby na górze złapać sygnał. Rankiem okazuje się, że w naszym domu jest dostęp do Internetu. Po dwunastu

godzinach podróży telekomunikacyjne odcięcie od świata przypomina podróż w najdalsze krańce globu.

Kontaktowanie się ze sobą i z naturą wspiera muzyka, która też tworzy codzienność. Kiedy Andrzej śpiewa pod prysznicem, Honza chwyta za bandzo i zaczyna mu akompaniować. W Węgajtach wieczorami po kolacji odbywają się tzw. fakultety z muzykowania. Czasami przepisujemy do zeszytów teksty pieśni, ale zazwyczaj śpiewamy, by je zapamiętać. Dużo jest przestrzeni na dzielenie się tym, czego inni nie znają oraz na taniec – wirowanie, pozostawanie w kontakcie z podłogą czy podrygi na taboretach, przy kominku. Przed poranną sesją formułuje się zespół – jeszcze zanim dotrę na miejsce, słyszę melodie, rytmy, harmonie.

wędrowanie

Przychodzi godzina zero. Ruszamy. Skrzypce Marii rozstrajają się trzy minuty po wyjściu z domu – tak jest zimno. Ale idziemy przez Nowicę, śpiewamy, przemierzamy zaspę. Zatrzymujemy się u progu. Ktoś nie chce nas ani wpuścić, ani słuchać. Ktoś pozwala zdjąć buty i ogrzać stopy przy kominku. Często herbatą i bimbrem. Mutka z Wackiem opowiadają między domami historie ludzi, których odwiedziliśmy. Pierwszy raz o tej porze roku jest już po świętach Bożego Narodzenia, bo zamieszkujący te tereny prawosławni Łemkowie zdecydowali się świętować, tak jak katolicy, według kalendarza gregoriańskiego. Żeby być dalej od Rosji, a bliżej Polski. W niektórych domach radośnie się bawimy, w niektórych słuchamy o wojnie. Niezwykłe, że na to wszystko starcza przestrzeni. Mute pisze później o naszych doświadczeniach w Nowicy wiersz:

wiejską drogą
nocną porą
komedianci
niosą dary

pierwszy dar
to jasne słońce
ukryte za słupem dymu

drugi dar
to księżyc – kamień
nad grobami, grobami

trzeci dar to oni sami
w koronach z tektury
błyszczącej lamencie
szminką oblepieni
śniegiem zaślepieni

niebo nad głowami
jest studnią bez dna
patrzy na starego człowieka
który żegna swoją żonę przy cerkwi
już rok już więcej już zawsze
każdego dnia

jaki on malutki
jak zapalka, nie, jak mrówka

i oni jacy mali
wymachują rękami
coś pokrzykują
nisko pochyleni nad tropami czegoś

Przyglądam się każdemu z przyszłych kolędników, wsłuchuję się w ich historie: trochę jak ciekawa procesu krytyczka, trochę jak reżyserka zaintrygowana materiałem do pracy, trochę jak performerka szukająca wspierającej, otwierającej na wyrażanie energii.



fot. Nityajesh Nahavandy

Nowica 2024

może cienia tamtej kobiety?
cienie nie zostawiają odcisków
i domy jakie małe
jak szyszki, nie, jak orzeszki

rzucają iskry na drogę
otwierają paszcze
połykają wędrowców
na krótką chwilę
i wypływają
odmienionych

silny wiatr rozrzucał domy
złamał drzewa, zatarł drogi
lecz w kieszeni czasu
zachowały się
dwa ziarenka

nasionko sprzeciwu
i nasionko zgody

Mutka dzieląc się z nami wierszem w trakcie podsumowującej rundy, proponuje, byśmy sami dopisali jakiś wers. Myślę o przeciwieństwach, które łączą się w tym kolędniczym performansie. Moje wersy byłyby o stałości i zmienności. Niezmienne są rutyna przyjazdów do Nowicy i scenariusze kolędniczych scenek: upadek i zmartwychwstanie Kozy, pozdrowienie Turonia, zemsta Heroda oraz współpraca Diabła i Śmierci,

która kończy jego panowanie. Niespodziewana cała reszta: bo ktoś wrócił do rodzinnej wsi, komuś urodziły się dzieci, ktoś od lat czekał na kolędników, którzy nie mogli wcześniej dotrzeć za górkę, ktoś wydaje się już bardzo chory i nie ma siły tańczyć, ale łyżę wzruszenia tańczą mu na policzkach.

Dziadówek odmienia wiosenna, słoneczna, wysokotemperaturowa aura, która rodzi większą otwartość zarówno po stronie gospodarzy, jak i kolędników. Na suwalskich wzgórzach ośpiewujemy całe krajobrazy – dom dla żywych i martwych istot. Mutka, znów niezwykle przejmująco, opisuje doświadczenie pierwszego dnia alilujki:

Zbigniew i Natalia unoszą się nad stołem, wielcy, ciężcy aniołowie.

Ryby smażone, jajka nadziewane, udka pieczone, szynka wędzona, bakłażany, papryka, banany, winogrona ułożone w kunsztowne wzory.

Kaligrafia nadziei, pisana ręką kobiety, która nie ma już dokąd wracać. Ona jest z Doniecka.

Wszystko to dla nas, którzy nie potrafimy przyjąć tego daru, z przejedzenia. Potrafimy śpiewać, tańczyć, muzykować. Włączają się z niedowierzaniem w choreografię „Młynka” – tak jak my, ciekawi nowych smaków, sięgamy po ten czy inny ukraiński specjał.

Duch szuka przestrzeni, moszcząc się to w rozwibrowanych dźwiękach, to w wódce krążącej pomiędzy nami a gospodarzami. [...]

Agnieszka, zajęta obrządkiem w wielkiej oborze, dostrzega nas, nadchodzących. Pomachuje z daleka, porzuca widły i biega.

Na podwórku przed domem – wszyscy. Zjednoczeni w wierze, że spełniło się. Że nadeszła chwila.

Chłopiec, wymachując rękami, podbiega do akordeonu, dotyka czule

klawiaturę tak jak wytęsknioną kochankę. Dźwięk instrumentu przebiega jak dreszcze przez całe jego ciało. Tak silny, że musi odbiec, skryć się. Ale matka puszcza się za nim, zna jego ucieczki. Za chwilę go przyprowadza, sama bierze bęben.

Młodszy od niego kuzyni, nie-autystyczni, stoją na schodach, wyprostowani jak struny, śpiewają „Z tamtej strony jeeziooraaa”. Stopami oparci o ziemię, wrośnięci w ziemię, nic nie będzie w stanie ich z niej wyrwać. Nic?? Ale dzisiaj nie ma przyszłości, dziś jest światło.

Przecucie mroku nadchodzi tam, po drugiej stronie szosy, gdzie stary człowiek bez ręki włącza się do korowodu i gdzie dziadek, wychylając się zza drzwi, przyjmuje muzykę, która ma go uwolnić od choroby.

I ciemność nadchodzi. Z daleka nas obserwują, a i my z daleka ich obserwujemy. Nieodgadywanie intencji z obu stron. Niejasność. Nieufność. Ale kobiety podchodzą, trzymając w rękach swoje butelki z piwem, nie zważając na zataczającego się gospodarza, który usiłuje nas odgonić jak natrętne muchy.

Niedowierzanie – jest i taniec, i włączanie się w hymn wielkanocny.

Gospodarz zmienia taktykę, nalewa, daje się zaprosić do tańca. Ile to już razy przez te lata? Taniec jak preludium do walki. Taniec jak ułaskawienie bestii. Bestia prowadzi wstępną grę erotyczną – Masz chłopaka?! – nie z szacunku, tylko żeby pokazać swoją władzę. Nie ma znaczenia, że jestem siwa.

Kobiety przynoszą dary, jajka i cukierki.

I nagle cisza. Tylko kilka kroków dalej, na jasnym jak biały dzień, oświetlonym podwórku Niebrzydowickiej. Dwie dziewczynki siedzą, nieruchome jak lalki, na ustawionych przed drzwiami fotelach samochodowych. Matka dziewczynki, synowa, nie odzywa się. – ...dwa tygodnie temu... Marek... – Co się stało? Wypadek? – Nie. Sam. – Niebrzydowicka mówi – Przychodzi i czas smutku... ból matki... trzeba dalej żyć...

Śpiew przez łzy.

I Wilczewska musiała żyć dalej, kiedy dwa lata temu umarł jej mąż. Opowiada o swojej depresji, kiedy siedzimy na murku jej pieca kuchennego. Kobieta góra. Tak wielka, że nogi ją już słabo noszą. Ośmioro z dziesiątki jej dzieci założyło rodziny, rozpieczętowało się. Został syn – gospodarz i niepełnosprawna, milcząca córka. Krzyżewska jest kobietą, która „wie”. Na przekór swojej religijności jest wiedźmą. Poznała to, czego umysł nie jest w stanie uchwycić. Widzi dalej, jest strażniczką życia i umierania.

Może wszystkie są wiedźmami?

W zagraconej kuchni Podbielskich jest Selek i jest Krystyna. I jest miejsce po Henryku, które już nigdy nie będzie wypełnione. Ale przecież jest obecny. Bez tej jego obecności nieobecności, bez echa jego śpiewu i okrzyków, bez szalonej radości jego rozchwytanego tańca nie znaleźlibyśmy się w tym miejscu! [...]

Jeszcze chwila. Jeszcze jeden dom, jedna chata. Mała, drewniana, ale cała wypełniona światłem. W drzwiach ukazują się najpierw zza grubych okularów oczy dziewięcioletniej Lenki. I już wiadomo, że nie przejdziemy obok. Że tu będzie Ważny Człowiek.

Lenko, pójdziesz z nami jutro na Alilujkę?

Pójdę!

Są takie miejsca, które nie chcą zostać opisane. Ale to chyba nie jedno z nich. Na czym jednak skończyć? Na którym obrazie, dźwięku, zapachu, dotyku? Do stodoły Podbielskich, gdzie pokażemy nasze wielkanocne przedstawienie, idą z nami duchy samobójców, którzy w ostatnim czasie postanowili, jakby wiedzeni jednym przecuciem, zakończyć życie. Kiedy przygotowywaliśmy nasze etiudy, nie wiedzieliśmy jeszcze, że będą o nich, ku ich pamięci.

spotkanie

Jest już chwilę po dziewiętnastej w wielkanocny poniedziałek. Nadchodzimy z pieśnią na ustach. Jest ciepło i słonecznie. Widzowie ustawili się wzdłuż dróżki prowadzącej z asfaltowej szosy do gospodarstwa Podbielskich. Stoją w małych grupkach – rodzinami albo bliskimi znajomymi. Większość z nich odwiedziliśmy w ich domach. Wacek prowadzi grupę kolędniczą tak, żeby zaśpiewać wprost do tych, których widzimy po raz pierwszy. Tak jakby ten kawałek ziemi, na którym stoją, był ich domem.

Ten rytuał kolędniczy chwilę trwa, choć jego dramaturgia jest raczej jednostajna. Kiedy najstarszy widz śpiewa nieznane większości kolędników zwrotki *Wesoły nam dzień dziś nastał*, czuć lekkie zniecierpliwienie, bo jego głos jest raczej cichy, nie niesie się po podwórku. Słuchamy jednak, uznając niedoskonałość tego momentu. Już zaraz wejdziemy do stodoły, gdzie przy jednej lampie oświetlającej równomiernie przestrzeń sceniczną zagramy przedstawienie i potańcówkę.

Koniec świata, małomiasteczkowość, trudy pracy czy problem alkoholizmu wracają jako motywy w poszczególnych etiudach. Spaja je temat ludzi, którzy wycofali się z życia albo głosząc swoje przekonania, przestali dostrzegać wysiłki i cierpienia drugiego człowieka.

Wacek zatytułuje pokaz *Jsi [wymawiane „sy”] za tańczących na ulicach*. Ten absurdalny tytuł znakomicie oddaje nastrój większości scen, w których muzyczne mycelium mające połączyć ze sobą wszystkie elementy świata – upija się, zwierzęta na arce Noego zaczynają się bić, wiejska rodzina narzeka na pogodę i nieurodzaj, gdy kończy się świat, pijak dostraja się do drugiego pijaka, by udawać trzeźwego, a gnój służy już nie ziemi i uprawom, a medytacji. Czeskie „jsi” znaczy tyle, co „jesteś”. Wyraża dostrzeżenie obecności drugiego człowieka. Jesteś, więc możesz opowiedzieć o tym, którego nie ma – który pojechał na wojnę, który umarł – i nie może wyjść już na ulicę i tańczyć, wyrażając radość i wdzięczność.

Druga część tytułu to niewypowiedziana fraza etiudy Tymona, która w ramach pokazu przyjęła najbardziej ascetyczną formę – patrzenia na widzów i milczenia, niemal jak w 4’33 Johna Cage’a. Tymon nie wypowiada tekstu piosenki, dla którego inspiracją były rewolucyjne, protestacyjne ruchy irańskiej rewolucji. Można go doświadczyć jako milczenia umarłych, ciszy, która po nich pozostaje, poczucia dyskomfortu, ale też znaku, że ktoś czeka, nie wiedząc jeszcze, co powiedzieć, co zrobić, w jaką nutę uderzyć.

Kiedy przyglądam się Tymonowi, siedząc z nim na scenie, mam w pamięci burzliwy dla całej grupy, konfliktowy proces dochodzenia do tej formy i odrzucania kolejnych elementów – również tych proponowanych przez Wacka jako reżysera. Ta wypracowana skromność i minimalizm wystawiają na próbę całe bogactwo opisywanych przeze mnie przeżyć i doświadczeń. Jak nie krzyczeć, kiedy chce się krzyczeć? Jak nie płakać, kiedy chce się płakać?

Na ostatnim, podsumowującym kręgu, kiedy patrzę na ekran z wyciekającymi na moją wypowiedź twarzami, doświadczam nagle smutku, a wszystkie zaplanowane wcześniej słowa ulatują mi z głowy. Jak to możliwe – być tak blisko tych, którzy są tak daleko? Ale ten smutek nie jest o tęsknocie, bardziej o odkryciu, że tak łatwo przenieść się z „wczoraj”, z „tydzień/miesiąc temu”, do „dzisiaj/teraz”. Inna Szkoła Teatralna jest o doświadczeniu teraz. ■

Nauka, jak w przypadku dzieci, odbywa się tu poprzez naśladowanie. Zaletą tej metody jest możliwość dostosowania poziomu do własnych możliwości. Trudnością do pokonania – wyobrażenie o tym, ile można zrobić, ambicja, by zrobić nieco więcej lub strach, który uniemożliwia podjęcie próby.